

JAN LEONCZUK

Żertwa



Regni

JAN LEOŃCZUK

Żertwa

Krajowa Agencja Wydawnicza
Białystok 1987

Żertwa



884-1

821.162.1-1

żonie mojej Barbarze
poświęcam

Pytasz synku jak
kocha pierwszy raz
tyła przetrwała skaleczonych lat
tyła nowo poznana podeptano

Pojazd synku na Młok z Nowarot
po szlacheckich błędach jej piasek
tyła serc wytrwałe tyła piecni
tyła młok serce jej krew

Słowa synku słowa jej katech
tyła przetrwała serce jej dzień
tyła przetrwała serce synku na swój świat
tyła przetrwała w nim serce słown

I pomóż synku przycięcie świat
tyła przetrwała serce synku na swój świat
tyła przetrwała serce synku na swój świat
tyła przetrwała serce synku na swój świat

Słowa synku słowa jej katech
tyła przetrwała serce jej dzień
tyła przetrwała serce synku na swój świat
tyła przetrwała serce synku na swój świat

BALLADA

Pytasz synku jaki jest ten świat
komu jeszcze można zaufać
tyle przeszło skaleczonych lat
tyle snów połamano podeptano

Popatrz synku na Matkę z Nazaretu
po śmietnikach błądzi jej płacz
tyle serc wyrzucono tyle pieśni
ręce matek ociekają krwią

Słowa synku słowa już kalekie
rdza przeżarła język nas już dławi
popatrz jeszcze synku na swój świat
kolorowe w nim jeszcze słowa

I pamiętaj synku przyjdzie brat
ciemne słowa zadzwieczą monetą
nie zaprzęдай oszustom swych lat
nawet kiedy ci serce zapłacze

Będzie milczał synku twój dom
i nadzieje w zamaryłych ścianach
popatrz synku jeszcze na ten świat
zanim wiersze bezsilne nadejdą

Tyle lat synku tyle lat
tyle wiary zaledwie poczętej
zaśnij synku wejdź jeszcze w swój świat
i nie pytaj czym życie czym klęska

ANTYFONA ULICY

Panno Ulicy
w ciemnej bramie
śniedź obojętnych na twojej szacie
bielmo okiennic zatrzaśniętych z nagłą
w trwodze ściśnięte serca
jeszcze pawim piórem
ścierają kurze ze starej komody

Panno Ulicy
cichej i bezdomnej

Panno pospiesznie
tłumionej modlitwy

Panno Daremna
Panno Miłosierna
cierniem wpisana w zaułku tęsknoty
odmierzasz w ciszy pacierze uległe

wzywam Cię śniegiem
wzywam Cię śniegiem
odmrożone dłonie do nieba unoszę
wzywam imiona zagubione w śniegach
serca spękane trwogą

w oczach umarłych kwitły nocą malwy
łaka pachniała pierwszym sianozęciem
i na podwórzu osiadło słońce
dzieży zapraską chleba powszedniego

i nikt nie podjął w tej bezkresnej bieli
strzępów kozucha całunu golgoty
i nie szły panny umyć wrzody
ręce skostniałe złożyć do modlitwy

i nie wracało przerażone słońce
matka daleka na piaskach pustyni
z ziarnem w onucach
z pieśnią co ranne miała budzić zorze
siadała wtedy na wystyglm progu
sypała ziarno oddechem matczynym
w podwórze śniegu i zgłodniałe oczy
co odlecieć nie mogły
poderwać się krzykiem

patrzyła matka kamienna i wyniosła
szepiała tylko — póki my żyjemy —
niebo rozprute ociekało żarem
piaskiem tłumione czuwały źrenice
w łachmanach matka
serdeczna w opiece
sieroca matka
matka kłamstwa pełna —

dlaczego Panno pod werniksem zbladłaś
ręce nad ołtarz wznosząc
aby spojrzeć w piekło
ukrzyżowano Matko Twoje Miłosierdzie

Matko Przechodniów
Panno Miłosierdzia
bólem omijam kamienne schody
na cichą bramę patrzę mojej matki wrokiem
ze sznurem dziada z Szubienicznej Góry

całunami onuc napęczniałych krwią

składałam te wota Panno
i nadzieję składałam

Panno Miłości
nad złotym księżycem
Panno w koronie
z kolczastego drutu
zoranę mrozem ręce ojca ponad bramę wznoszę

ukrzyżuj raz jeszcze —
ukrzyżuj ten naród —

zgnieć w swojej litości
szepetu tego lament
bym mógł spojrzeć w skamieniałe niebo
na którym księżyc opity niewinności krwią

zabij psa we mnie skomlenie
sierścią wymościsz betlejemskie noce

a może zejdziesz Panno
z marmurów ołtarza
wyjrzyysz zza okna wyciszonej bramy —

ulica pusta
śmiechem rozpaćkana

w zaułkach drzemią Wernyhory śpiewy
płacz czasami zbłądzi
pod przelękłym niebem

Madonna wyszła z bramy —
i blednie pod werniksem
serce tłumią dłonie
wracają jej synowie
w baranicach śmiechu
o twarzach z denaturatu osadzonych w złocie
w kufajkach odlanych ze spiżu
(na polu garnarczowym
betlejemski tłum)

słyszysz matko
śpiewają —
pieśni rozliczają
z krwi nagłej co skrzepła
w uległych tętnicach
w glinianych maskach
niosąc nowe twarze

oj dożali dożali
budziem życie żali
sierebranoju dziewczusku
kak skazku razabjom

oj budziem żali
na dolini płaczu
negrowyje huby zbielejut
pod złotom karony

oj dożali dożali
budziem życie żali

I.

taniec szalony gryzł tętnice
odległy anioł ugrzązł w ugor
zapisał datę Bóg i odszedł
święci posnęli w lilii bieli
kołnierzyk zszarzał
błąd w zeszyście
zapisz inaczej — śmiał się pajak
spowijasz swoje puste życie
krew też odpłynie
i znowu wejde w pajęczynie
przerwano-przejdą-przyjdą znów
życie przemieni się w niebycie
przelękle krzyże naszych dat
kołatki postne wiliją cichą
rozmienią gwarne pluję w twarz
na gąbce imię spijam lepkie
tyś w nas uwierzył poprzez swe oblicze —

rany zakwitły bólem w sen
pacierz w ogrodzie ojca szukał
na piersi twojej spoczął Jan
we włosach łęku szept

za czyją zbrodnię taniec święty
zbłąkanych ulic biegnie pies
z obrozą siatki wężem snu
koszmarnych książąt zbłądłej bajki

za czyją winę szukam twarzy
na której nie legł cień kagańca
w bruzdach spragniony chleba kęs
odgadły lata świstem smyczy

a tyś obwołał mnie Judaszem
nad strawą ciepłych zdań wieczery
(w blaszanej łyżce tylko sen)

śpij na pacierzu jednym zdaniem
na prawo most — i dom kaleki
usnął w kantyczce pamiętania
i matki nóż stygmatu cisza
dzielenie rąk na palce harde

na lewo — szcurze wysypisko
śmiech świecidełek zerka w lustro
rechot osiadł w pustych ramach
stężale powagą zbladłe lustro
i wykrzywiona weszła znowu twarz

— patrz Magdaleno

Mistrz poniósł zapach włosów szmer
tyżeś w rynsztoku a on w niebie
roztrącił was szaleńca czas
zbutwiałe drewno świt rozorał
ziarno rzucone obumarło
oset już zakwitł —
(na rozmarynie śniło dziewczę)

na prawo-ciemny śpiew uparty
zebrano gwoździe w chichot serca
w pacierzu twoje imię weszło
przebodłe lata na rozstaje szły

na wprost-wzniesione niebo rosło
purpurą zdartych sukien
w nieboskłon szły pacierzem słowa
odtąd już lilie

czyste dłonie
ostatni guzik
dokument świętych
drzazga płonąca tkwiła w ciele
krawatem hardym świat zaciśnięto

II.

niech będzie darowane śnieniu
wątlých budzików Piotra lęk
nie znam kobiety ciała w bieli
już świta
nie znam ciepła rąk
nie znam jej głosu z martwej śliny
złączonych słów w milczący brzeg
szklanka porannych krwawi zdarzeń
nóż w niebo wyniósł hardą pięść

a na obrusie twarz umarła
w źrenicach skarga papier rzy
palcami chleba tęskne ziarno
do ust unoszę winę krwi
widelcem rąk umarłych głodem
unoszę jeszcze jeden kęs
za drzwiami brat w ciemności blednie
umyje dzień wczorajszych rąk
z tapety zeszyły dzieci nagle
słonecznych rogatywek śpiew
ojciec zbudzony świt przeciera
bielma źrenice strachem milczą
zapadłe oko Boga Ojca
i szklane oko brata ciemnych drzwi
i słowa martwe pękły wargą
ulicą się potoczył krzyk

zagrały zgrają stada biczowników
kankanem podkasane szły w zwartym szeregu
(rechot na trybunach)
oślepie oko zza chmur się wychyla

w tańcu ochryple
- póki my żyjemy -
i znowu cisza nad obrusem
plama zapadła w imię wioski Wierzę
zbladły talerze z żylastym kwieciami
ze strawą rozminianych pieśni —

III.

tyle nadziei ile świt rozpisze
ciemność już pędzi na rozstaje świata
siedząc nad miską dojrzysz twarz brata
choć serce zaparte połączoną kratą

IV.

czym twoje dłonie
zapytały lustra
w ściemniających ramach tkwił już sen odarty
bose dzieciństwo przebiegło przez szkło
raniąc drzazgą oniemiałe serce
w świętej wodzie dłonie zanurzone
klaszcza marzeniami wyludniających trybun
idą uczniowie
niosąc własne twarze
w pośpiesznym łkaniu modlitwy spragnionej
i ciemność spadła spopieliła dłonie
kaloszami zmierzch rozdeptał ulice

rynsztokami spłynęły wczorajsze nadzieje
plamą krwawą w jesieni oszalałej w tańcu
palce cisza znów łamie
ból oniemiał w trwodze
szalone konie opuściły łąki
biegły teraz polami miedzą krwi spragnione
bielą lat przeliczanych ociemniałych okien
czym twoje dłonie
w oczach przyjaciela
resztki nocy odeszły w zdaniach ciepłych marzeń
wyschły bruzdy przeciętych losem dróg
spragnionych

drogowskazy zamilkły
w pięść umarły zdania
pacierzem twoje dłonie — amen w nich kołaczce
otwórzcie drzwi na oścież —

V.

czarnej matki pościeli wysuszony piód
perekłonom i wyciem oniemiałej suki
gdy księżyc drwił melodią —
zaczadziały tangiem —

a śpiew ich gniótł w pola kukurydzy -
- owoców kolbami lat — czterdziestych warczał -
stary bęben -
heto tak — heto tak —
pazurami noc darła matek moich łono
i śnieg im sypał w ciemnym orszaku zawilgę
w pamięć ranioną białym całunem golgoty
i szły jak Marie pełne strachu
a puste groby zakwitwały —



Mówiłaś Matko:

Pod wydeptanym progiem zakopałam nocą
skrawioną pepowinę, z zielem święconym po-
dążającym za światłem.

Powiedziałam wtedy: ciemność bielmem zatrze
mój ślad i nie będę mógł dojrzeć studni z zato-
pionym lustrem ostatniego oddechu ojca, wezmę
wyschniętą i starzejącą się pepowinę, rozwiążę jej
nieznane losy a usłyszę swój śpiew —

Mówiłaś Matko:

Kto rozmawia ze mną — syn mój jest we mnie
— we mnie jest jego język i płacz jego —

Mówiłaś Matko:

czeremchy kwitną gorzką wiosną

A potem już milczałaś. Wiatr w izbie tańczył.
W świętym obrazie śmiał się pająk. I noc staczała
się za pijaną górę.

VI.

ściany domu pękają mój Ciemny Bracie
w milczeniu niech opuszczę tę ulicę
porytą gwizdem opętana strachem
z wiernym kamieniem —

ściany mojego domu westchnienia zaułków
krew tapety zmyła klamki ktoś odliczał —

Ciemny mój Bracie to jeszcze nie ulica
i nie ten dom i nie ten śmiech grających w karty
i nie tymi drzwiami
wchodzą słowa szalone niekielznane wiatrem
bo wiatr nas jeszcze pieści kiedy dom oddalasz
jak stary list dzieciństwa w strzępach elementarza
pędzą sny w westchnieniu ściany domu pękają
a ty mój Ciemny Bracie szukasz szklanki z wodą
zapij wczorajszy dzień i dni pomylone
co krwawią raną jak przecięte niebo

mój Ciemny Bracie bielmem chleba zdławiła cię noc
i powieka matki o świcie krwawiąca
gdy dostrzegła twe znamię piekące zachwytem
orderów wiekuistych lament —

palcami świat jej czym prędzej zamknąłeś
- niech mama już nie patrzy -
- zamilcz stara matko -
powtarzałeś do krwi swojego pacierza
i płacz w nim zaskrzepły na twarzy rozkwitał

mój Ciemny Bracie jeszcze oczy matki
w koszmarnym śnie wracają
— dokąd idziesz synu —
a tyś powiedział drzwiami zaklinając
— krew na mnie i na synów moich
wróciłeś w garniturze strachu
w pole garnarczowe sadem pobielone
wrastało pod powieką szklanego już oka
matki czuwającej w modlitwie

bo nasze słowa — mówiłeś —
patrzac na spękane ściany domu
zdejmując pas leniwie różaniec swych dłoni

- bo nasze słowa niby kula zbląkana
ugodzi w wasze skamieniałe serca
- bo nasze słowa na jutrznię pisane
wyjdą poza lament świszczącym biczyskiem
- bo nasze słowa przejdą ponad tronem Boga
i pejcz nad twoim grobem matko też zawiśnie

Mówi Przyjacieli:

Przejdiesz kilka dróg, dolinę ominiesz i wejdiesz na wzgórze. Tam czekać będzie na ciebie pożar rąk ofiarnych i kadź ze źródlaną wodą. Ofiarne ręce spalą na tobie szaty i nagi wejdiesz w pieśń wody.

I spotkają się w tobie dwa żywioły.
Ogień i woda.

I zejdziesz ze wzgórza, opadną ostatnie krople, pot wkradnie się na skórę, potem krew. W ustach zakwitnie szkaradny kwiat przekleństw i dłonie utworzą pięści.

Wracaj na wzgórze. Tam czekać będą ofiarne dłonie i dwa żywioły. Teraz przemienią ciebie w wiatr i zejdziesz ponad ziemię obłokiem snu.

Wejdiesz wtedy w krew i w pot, w nasienie ziemi i w przekleństwo Boga.

Mówi Przyjacieli:

Niech będzie darowane śnienie twoim oczom i twoim wargom i niech głowę twoją uniosą ponad misę ziemi, ponad taniec. I krew niech będzie zawsze twoim bratem i przyjacielem.

VII.

zapadam w twoje imię nagle
ręce krwi żądne i płomienia
by z pieśni nocy wypluć zdanie
ofiary potu i nasienia

ból matki rodzi śmiech księżycy
spęczniałe wiatrem nocy brzemię
wracam po słowa — wargi kłamią
i nóż rozcina moje ciemię

podaruj ciemną grudkę chleba
na język martwy ślepe oko
mój synu z dalekiego nieba
mój chłopcze
alleluja

VIII.

te noce snów połamanych wspomnień
zawiesił ojciec za obrazu ramą
z zielem święconym z czapką niewidką
z orzelkiem na szyi w niepamięć zapadał —

* * *

I sen ojca rozorał moją krtań i wysuszył potok śliny i oczy bandażem mrocznym opasał i mówił:

Przez lata przejdiesz wlokąc za sobą ognistego konia. Pod czaszką w stajni rzeć będą jego źrebięta. I nie rozpoznasz głosu własnego syna,

bo zanim słowem zawieszysz, inni zawiążą mu
powróż na szyi, spętają jego pęciny i oczy wy-
kłują marzeniami. I nie poderwie kopyt od sprą-
gnionej ziemi. I nie spojrzy na zazieleniałe łąki.
I nie wejdzie w brzek szabli.

Bo imię Boga Ojca i Synów Jego i Świę-
tych Obcowanie nie wskażą mu drogi.

I stać będzie martwy.

I nie pomoże bał, łańcuchy i wędzidła.

I nie pomoże wóz wprzęgnięty w codzienność.

Nad nim mleczna droga zakwitnie i Wóz Niebieski.

A sieczka słów nie poruszy jego nozdrzy.

IX.

zza brzegów brzegu

piszę krwią palców

przyjaciół i nieprzyjaciół moich

aż usłyszysz kiedyś tajemny głos

z zamkniętego Trójkąta

z ojczyzny jedynego Ojca

ojcowizny wiary

ust wiekuistego szczęścia

i śpiewu Kaina i Abła

wśród pól rodzenia ciężkich owoców

jak pierwszy matek pot poczęty w krzyku

aż śmiechem stanie się tamten dzień

X.

ta cisza obezwładnia ta cisza

skrojona na czas i nic co dotąd

(szło tędy na przełaj)

i nie przekroczyło granicy
nie zapisano żadnego słowa

jeszcze klaszczą chodaki

gwizd bata przeciął zaułek i zamilkł

głos dobijał się do bramy

sierść przekleństwa porastała plecy

— kudy wy —

— ja Sorokowij God —

— kudy wy —

ktoś w bramę znów kołatał

w matki brzuch zapadły

dziecko martwe w połogu śniło nową pieśń

w oknie pajęczyna krwią zbroczona zgasała

dzwon ze wzgórza lamentem

w chuście płacz swój stoczył

nad bramą wklęsłą w zapadłe chodaki

powieki oniemiały

światło weszło w krew

katorżny tłum przed tobą staje

szept ranionych rósł —

- ukrzyżuj ukrzyżuj Matko swoje miłosierdzie

odbijał się od czarnych ścian Judei

- heto wy Sorokowij God —

i śnieg manny pod oczyma prośszy

bezdomność

cichy pacierz

medalik blachą mrozi

wstążka powrółem

krtień osacza

XI.

zogromniał nów zsiniały mrok
 skrwawione niebo gasło mirtem
 panińskim śpiewem martwych lat
 szadziały tęskną galopadą

za wioską szli mężczyźni w tango
 trzaskały kufle w — budź zdarou —
 nie przydziej toż szto tutaj byu —
 i pieśń rozogni pustym młynem

nie wróci stary pies w łachmanach
 wycie przecięło nieba krąg
 pannom załkały puste chaty
 i kwiaty martwe rżały snem

nie wróci łośki pan wielbłądów
 za stołem umarł zszkarłatniałym
 pod palmą tęsknych tłustych lat
 ze śliną w aktach wypisanych

nie wróci w starą wierzbę grom
 lichy zasiadło przy herbacie
 złożone usta szept landrynek
 łotr już naliczył siedem gwiazd

na niebo znowu ktoś pozwracał
 letnich sobót szloch naglony
 i w trawach jęk ziarnisty mak
 w bruzdach legł z koniem pomyłonym

nie zliczą skrzypiec w noc zwabionych
 dziewczyna z martwym lasem gra

na ciemnych włosach rąk szalonych
 nie kocha nie szanuje rdza —

zogromniał nów zsiniały mrok
 i palce szły gęsiego skórą
 by dojrzeć świtu gwiazdy próg
 łakome słowa w słonej ciszy

XII.

na uwięzi moje szlochanie
 twarde ściany — zębów nie starcza
 sznur krawatu wściekłość banalna
 parzy rannej herbaty zdanie

uwięź Panie moje lat trzydzieści
 grdykę śliny otul pępowiną
 w ręce berło kamienne mi daruj
 zmaż nocną zetrzyj moją winę

matkę krwawą snem nagłym umarłą
 gdy nie starcza mi pełnego lata
 zasadź we mnie to zdanie ostatnie
 niech zakwitną podeptane daty

zabierz Panie pot mój i ciało
 ślina wierszy sączy się uparcie
 w sercu pustka nagłego poranka
 gdacze we mnie przeklętym tańcem

XIII.

wierzby już nie płaczą groźne mierzą w niebo

konarem martwym wrastają w ciemne skronie
lękiem snu umarłego w waciaku zatechłym
by dojrzeć na łące skrwawiony rumianek
zapytasz oto niebo a odpowie ziemia
snem skaleczonym wyjdiesz za rogatki miasta
opuścisz chichot zamarłych już trybun
dojrzysz jak matka ulatuje w niebo
w wianku z szaławii majeranku i mirtu
dojrzysz na ziemi połamanych w tańcu
i śpiew na ślinę rozpisanych w zachwyty

w zwalonej nocy ciężkiej od zegarów
od ślubnych sukien w naftalinie dziejów
na przełaj bieżą dzieci rażone martwością
i nikt już nikogo rozkazem nie rani
choć pada — powstaje — gnije cierń ulicy
choć powstaje — pada — świstem uwolnionej
smyczy

i z błot poleskich zapadłych jak rana
jak blizna wiersza z której krew wycieka
płynie już w pieśni podeptany anioł —

— ułani ułani malowane dzieci —

żadna pieśń już —

I Mówił Ojciec:

Śpiew obumiera niczym nasze zdania w alkierzu,
kiedy uśmiechnięta dobrocią twarz Neurologa
próbuję dojrzeć nasz lęk i bronić nas przed
napastliwymi snami. Albowiem wielki jest Dzień
Medycyny i Pacjentów Wielkiego Szpitala i Ordynatorów
Jego. Kiedy otwierają drzwi szpitalnego alkierza,
w Dzień Rezurekcji, widzisz rozście-

loną łąkę zasadzoną śpiewem glinianych ptaków.
I nie potrafisz przekroczyć tych progów. I śpiew
zamienisz w szept. I wyjaśniasz swoje sny i dzieci
nie narodzone. I widzisz Europę jak przewraca
się na drugi bok. I widzisz jej odleżyny —

A kiedy kogut trzykroć rozbieli ściany Wielkiego
Szpitala, dojrzysz na małym podwórku ocie-
nionym wrogą ścianą, pieśń twoja spala się z ma-
chorką. I dym w oczach czaić się będzie Ponu-
rych Konfesjonalem.

A wiersz twojej choroby nieustannie spływa.

XIV.

świeci lampa świeci źrenice czuwają
przy stole martwych przeliczają palce
kamienne na murze zakwitają gwiazdy
z życiorysu brudne paznokcie zdzierają

świeci lampa świeci rtęć osiada w mózgu
zdania pomyłone spowiada butelka
pod sufitem tańczą pejceze zachłyśnięte
pacierz wiarę trwoni w ziemi obiecanej

świeci lampa świeci Salome w podskokach
w czyjeś słowa uwierzył? — pieje kur piotrowy
pod powieką wygolonej głowy
psy krew wężą i słowa tłumione spijają

* * *

świeci lampa świeci powieki czuwają
dziecko w piaskownicy bawi się orderem

ojca sen skamieniał zanim czas rozbielił
to jedno wtedy wycharczane zdanie —

XV.

we śnie się budzę ojca mego
w spotniałych zdaniach kroplą rosy
zszarzały mundur w śpiewie szabli
i krew zdojona w datach nagłych

którędy —

ojciec w mroku pyta
w ojczyzny zagon siejąc pieśni

którędy —

we śnie się budzę ojca mego

XVI.

blizny zostały
a krew wciąż płynie
nocami budzi serce
gdacze szary ranek
kamień ulicy
uległość zamilkła
i wozy płyną podkasane batem
śmiech na ulicach
Słonim mojej pieśni
onuce ojca twarz zakryły bólem
konie znów pędzą
głowy na kamieniach tańczą stare walce
i śpiew warg martwych

obrzmiałych imieniem
toczy się po bruku krwawym śpiewem
Salome w mundurze
(prysiudy czas zacząć)

wóz pędzi
czas pędzi

XVII.

dopala się we mnie krwi westchnienie
i dłonie w żertwie popalone
wody spłynęły drzwi zostały
stłuczone szyby w pustych ramach

nie twoją drogą sny odeszły
zbladły marzenia w tańcu martwym
wygasłe jeszcze drgały gwiazdy
nie twoim i nie moim tańcem

szalik otulił tę samotność
zdrętwiały świt kamieniał echem
i strach porastał —
nie moim niebem słońce szło

XVIII.

a kiedy dojrzysz dno
swoich i cudzych dni
podzielisz światło
na olśnionych i oślepych
ujrzesz jak dzielą prawdę
proroków i demagogów

a szaty święte pokrywają
stoły biesiadne
słowa skoczą do gardła
wrzaskiem trybunałów
kijem nawiedzonych
manna ugrzęźnie
jak pieść w zgłodniałych ustach
podadzą zółć
nakazów i zakazów
a kości łamać nie będą
umrzesz na swoim krzyżu
z obrzękiem serca
z opuszczoną głową
beznadziejnie
po ludzku

nie zdejmą z krzyża
nie uznają po latach twojego bólu
opadniesz w ziemię
podzielisz swoim ciałem
ośnienie i ślepotę

i wiatr poniesie
krzyżową relikwię
wtedy dojrzysz milczenie
zamarłe w trwodze
wargi

XIX.

Matko czarnych
Matko odrzuconych
sznyty na twojej twarzy
moje imię żłobią

i ciemność moją
wysłuchaj Matko
w pieśni
zaropiałych szmat

1980

SEN ODARTY

Dlaczego pieśń tej ziemi krwawi kroplą
potu
snem kobiet we wspomnieniach
krzykiem matek w nocy

dlaczego krok swój mierząc
roztrwonilem drogę —
na kamieniu matka
płacze snem skrwawionym syna
wiersz toczy się na przelaj
w pomyłony taniec —

kraju mój
alergii obrazów snów łamanych
pieczęci niedorzecznych pytań
źródła łask bólem brzucha
rechotem sąsiadów
kraju wiersza cichego
pędzonego strachem
kraju boga ciemnego
sadzonego w trzewiach
kraju chleba sytego
rozmienianych pieśni
na krzyżowych ramionach
w pajęczyny objęciach —

kraju
zanim dopowiem zdanie
w ciemnym oknie zdarzeń
kraju litanii wiecznej
nieustannych zdzwień
kraju
do ciebie idę
serdecznym słowem
krwią palca wierności
kraju
bólui zwierzeń
zaufaj moim słowom
skrzepom mego wiersza

noc słowa wypędzi
na rozstaje dróg
wygonami pytań
w ciszy umierają złudne fotografie
tamten czas tamte słowa
i ten czas i nadzieja —

dlaczego pieśń tej ziemi krwawi kroplą
potu
snem kobiet we wspomnieniach
ojca krzykiem krwawi

bo zanim dopowiesz swój czas
pędzony na oślep hakeldamy brzękiem słów
zawiasami oliwionych zdań
bo zanim dopowiesz
modlitwę utrudzoną rozścieloną puszystości dywanu
czasów naszych bogów ojców pieśni fotelami
ciężkich
w organowe zaśpiewy gregoriańskie wyżyny
cygarami dymu

kadzidła w lewo w prawo-duszność-krawat-nieba-
-powróż
jeszcze jedno zdanie landrynkami płynię
zawiasy-zawijasy
zatrzaski
twarze ktoś omotał
śpij na posłaniu w zapachu różanym

minęły ojca ślady brukiem krwawym
jękiem onuc pojone zamilkły usta
a we wspomnieniach wyrastała Polska
do źródeł umęczone konie szły
ze wschodu pieśni i z zachodu pieśni
krzyk wewnątrz pacierza —
jak szabla ojca
kiedy w Boga i Ojczyzny imię
znakiem krzyża
strach przeklina

ojcze ze starych pieśni w kromce chleba
słów wiekuiowych zakwitających marzeń
dojrzyj we mnie syna dnia dzisiejszego
ze złamanym skrzydłem
wlokącego się w jutro
w twoją
pieśń kaleką
śpiewem jeźdźców bezdomnych wierszy
słowa słów jeszcze z pulsem wiary wiarołomne
jeszcze w tańcu grają metafory wiersza
jeszcze jeszcze grają —
prowadź zanim
nie zamilkły rozstaje
ojcze zrodzony ze starych kantyczek
raniony refrenem

krzyżem pytań
natarczywych zdziwień
betlejem milczące w nas weszło i ugrzęzło —
zanim sen odpowie
kainowym wzgórzem odległym

słyszysz?

ciszą okna znów krwawią
śmiech kobiet bezdomną fastrygą
szarpie schną na przyzbach
wielkość nocy rozmięła śpiew
idą kobiety niosąc martwe płody
w husarskich skrzydłach umierają dzieci
Oh Calcutta — tańczą w ciemnym niebie
popiołem zwierzeń
w stągwie cisza kapie

cisza

matko

zanim światło dałaś pod powieką
i dalekie wzgórza
drogi pomyłone
zanim uwierzyłem
w twoje kłamstwo
kolorowe zabawki słów
płaczące lalki
zanim wiersz stoczył się
po pochyłości nadziei
krwią spływał różaniec
do ostatniego paciorka
zanim drzewo stało się drzewem
choć słowo było początkiem

matko

słów

nie czas sumieniem równać koleiny
losu trwożnego z równiny ku wzgórzom
bo zanim słowa odpowiedzą echem
zadrwi w nadziei pomyłony refren
rechot zawiesi taniec wiekuisty
banalnym obereczkiem obertasem śmiechu
lą powstrzymasz szeptem nie dotrzesz
w malignie otworzą oczy śmierć obwieszczą
wyjdą poza progi aby zrównać serca
piołunem słów uwierzą w kawiarnianą horde
w powijkach niemota kiedy starość kłamie
wierszem niech odpowie nasz krok pomyłony
wierszem co w śpiewie odnajduje progi

a może kiedyś dojrzysz kwiat
za chatą ojca w noc piołunu
gdy przyczajony zakwitł czas
powrotów naszych niepisanych
gdy Keli wejdzie w cichy sen
przeliczysz lata ze sztambucha
modlitwy zognomniały cień

z nieba bagnetem wiersz się zrodzi
królowie zesli w oslepioną ciemność
na sianie śpiew się rozkołysał
chropawym zdaniem

dłaczego sen tej ziemi krwawi kroplą
potu
pieśnią we wspomnieniach
krzykiem matek nocy

dłaczego —

a może snem powrócę do dzieciństwa stawy
pytań zdziwionych zawierzonych westchnień
matek jasnych o zmroku ponaglonych cieniem
wzgórza wiekuistego z zaczytany wilkiem
jeszcze w snach naszych spoconych zakłębem
wierszem banalnym chociaż pierwszym w prawdzie
osiadły teraz współczujące zdania

a może w sen
wracamy z dzieciństwa koszulą
matki już płaczą na krwawych ugorach
wzgórzem powraca pies tęsknoty
zakłębem sierści
wierszem niepokornym

odeszły tamte niepokorne pieśni
mrok ciężkie słowa powytrać z tańca
śmiechem potoczył się dzień
w zdumione okna

nadeszły znów Marie
świttem pacierza
wymodlone wzgórza
kamieni zamęt
słowa ciężkie
ponaglone
grudą pytań ciernistych
jeszcze jednym zdaniem
serca zatrzaśnięte we krwi
wartkim strumieniem rozjątrzonych pytań
w ślepotcie słów
pomylnych tańcem

dłaczego pieśń tej ziemi krwawi kroplą
potu

snem matek
krzykiem nocy krwawi

tamten czas znaczony krzyżem
oślepiających prawd głuchego nieba
terkoczą w nas zegary przebudzone
podaj dalej podaj dalej
podaj dalej
w sen pościeli
w świergot ptaków rajskich
oceanów dalekich
w sen twardy gorzkiego świtania
w jutro ślepe
w prawice gorzkie od klaskania
koguty pieją
w płotach niepodległość i szemranie wiatru
oko urzędnika z nieba
opatrzności oko
zmrzyło powiekie
śpiewem dalekim — wychodziły na brzeg
w pancerzach pytań

i szli w cieniu Oka
w dalekich miastach wielkie świniobicie
czerwonym pasmem otaczano wzgórza
w ojca modlitwę — coś Polskę przez tak liczne
wielki —
morowym powietrzem w kogucim zaśpiewie
w kołędzie przełamanej
łęklwym pacierzem
w nocy wiernej łyzy
w zanadrzu śpiew splekany wiarą
w dom wyludniony z marzeń chleba powszedniego
i słowo ostatnie śmiechem się stoczyło
jeszcze drga

drzeniem
anioł słów wierny
nad starą komodą
tamtych słów
tamtych dni —

spójrz synku mój w zadyszkę daty

dlaczego pieśń tej ziemi krwawi
kroplą
potu
pytasz synku
dlaczego —

bo zanim wiersz dotknie raną snu
czerwonych okien ugłaskanych świateł
zanim świt w nas dojrzy południem zdziwiony
jagliczne oko opętane strachem
nim Bóg źrenicą stado swe otoczy
wilki w nas ciszę wyciem pieśni spłoszą —
a cień odarty łasi się u nóg
a płacz nam pieśni fastryguje —

by ślepnąc co dzień zmileżeć to kalectwo
nim jedno oko zapomni o drugim
i zanim słowo przemilczą noc zdania
przejdą milczeniem ochwacone wiersze
powstańcze lasy porośnie legenda
wierność przykryje kolorowa chusta
bezdonna Weronika piorąc całun płacze
i rechot judaszowy za pazuchą strachu
bielmo w nas dźwiękiem groszem hakeldamy
na postumentach stoją okłamane dzieci
i płacz w nas nocą po kryjomu błądzi

kalectwo nasze — nie czas rany lizać
pragnienie ucieczki —
pomyliło wzgórze ugrzęzło w dolinach
i biegnie na przełaj polonezem wiersza

1979

EPILOG

Mariannie Bocian

Ciemność zdławiła wiersze nagle
strzępami gazet śniła ziemia
ulicą przeszedł Ciemny Brat
jak cień odarty ze wspomnienia

liszajem osiadł dźwięk srebrnika
na obcych twarzach w bruzdach łęk
przezarte dziąsła w strawy
narcyza pomieszany sen

już nie ta ręka wargi spuchły
okno zabliznił bielmem czas
krojone czerstwe kromki chleba
błądził w nich jeszcze stary walc

na ścianie pająk w krwawym śmiechu
usnęły wiersze jak bandaże
i krzyk się stoczył z tyłu lat
rechotem pobielalej twarzy

rodzice zeszli bez pożegnań
nie wyprostował nikt tych dat
ciemność zdławiła wiersz ostatni
gdy znów zapukał Ciemny Brat

1979-1980

EPITAFIUM

1.
królowie nie schodzą nigdy w doliny
nie znają śpiewu drzew
zdrętwiałym językiem ślinią prawdę
i wietrzą w śnie zdradziecką krew

2.
miecz w rękach władców z ognistych słów
w popiele nurzany
dzieli naród na żywych i tych
którzy już umrzeć
nie potrafią

3.
nadzieją pozostanie wiara
iż niebo ogarnie ich stopy obrzękłe
a dłonie oplucze warowna cisza
i skowyt psów uległych

4.
królowie nie opuszczają warownych stołców
rechot biesiadny tli się na wzgórzach
obcą pieśnią

5.
obca pieśń nie spłynie do ust poddanych
w doliny kwitnących drzew
zamrze kiedyś jak papierowy anioł
kiedy się niebo w nas pochyli

6.
królowie wznoszą niebo
z ciężkiego kamienia
poddani dźwigają je na wysokie wzgórza

czasem błazen zapłacze
czasem drzewa w dolinach umierają

7.

czymże jest nóż
zapytano ojca w komnatach królewskich
milczał ojciec
i nóż wszedł w jego krtań

8.

śpiew sączył się uparcie
pochodził pod wzgórze
aż któregoś dnia wzgórze zarechotało
i śpiew zamilkł

9.

ojcze
skoroś się ojcem nazwał w modlitwie trwożliwej
skoroś wprowadził mnie w stado owiec
choć wilkiem jestem
ojcze przebacz

10.

ojcze
królowie otwierają wierzeje moich snów
i przywołują krwawą żrenicą
oddal ode mnie ten świat błyskotliwy
niech będzie cisza

11.

zapisane dni zapisane noce
i to czego zapisać nie potrafię
niech zapisze brat mój i siostra moja
w tęsknocie

12.

ziemia zbawiła mego brata i siostrę moją
wypędzając ze wzgórze
teraz błądzą w mojej ojczyźnie
w dolinach nieustannej litanii

13.

wypędziłem wiersze z własnej krwi
i z własnego sumienia
błądzą teraz oślepli
w oślepiłym świecie
i pytają gdzie Pan
gdzie Dom

14.

pamięci plewionej z chwastów
wypływa krew
leczy czasami
śmiech
zastyga na wargach
i trzeba wtedy użyć noża

15.

władca myje długo dłonie jak oprawca
z krwi spleśniałego nasienia
namaszcza oliwą
i pisze historię świata

16.

w królewskiej gazecie napisano:
— wydano złoto biednym —
rzucono jedynie garść miedziaków
i biedni ich nie podnieśli

17.

warczała ziemia kiedy królewski majestat
ogłaszał amnestię
pielgrzymowi pozostał kij
i gromada udających psów

18.

jeśli umieranie w twoim śnie się zjawi
zapytaj
dlaczego przychodzi tylko raz
dowiedzieć się twego imienia

19.

kłamstwo brzęczało złotą monetą
szyderstwo połyskiwało złotem
tylko serce z niepokojem odmierzało
czas

20.

sczerstwiały chleb
krwawiące dziąsła
anielskie tęsknoty
jednakowe uderzenia serca

21.

poprawiono moją ojczyznę
trzeszczało w stawach kiedy wciągano na krzyż
krew wytrysnęła
wsiała w ziemię
zadowolenie rozsiało się w barach dworcowych

22.

słyszysz
pieśni nowe
słowa nowe

usta nowe

stare serca

w płaczu bezsilnych

23.

uczono mnie abecadła
mądrej mowy i ciepłego domu
teraz na pogorzeliśku
szukam szkiełka i oka

24.

zmęczenie odejmie ręce
słumi sumienie
gwoździe którymi przybiją nas do krzyża
obudzą zatrutą krew

25.

z krzyżowych ramion
dojrzysz pałacowe wzgórce
i sny królewskie
coraz bardziej spłowieałe

26.

zamkniesz powieki
w śpiewie Wernyhory
przebodą twój bok
z którego wypłynie pieśń
biało-czerwona

27.

przeklinasz codzienność
przeklinasz swój płód
przeklinasz krzyż który zrodziłeś
popatrz

małe krzyże poczęły rosnać
wydały już liście

28.

sklejone dłonie klakierów
przybito do krzyża
wiatr teraz w nich zawodzi
a świat wciąż otwarty

29.

ostatnie słowa
Przebac im Panie
Przebac mi Panie

30.

zamykasz źrenice wolne od bielma
jeszcze serce gdacze
Piotr nie nadchodzi

31.

trzydzieści jeden lat
zacierano epitafium
kamienne słowa krwawiły
twarzy nie pokrył kamień

1982



SPIS WIERSZY

ŻERTWA

Ballada

Antyfona Ulicy

SEN ODARTY

Sen odarty

Epilog

EPITAFIUM

Projekt serii *Marian Sztuka*
Opracowanie graficzne *Sławomir Chudzik*
Redaktor *Elżbieta Kozłowska-Świątkowska*
Redaktorzy techniczni *Bożena Rusiłowicz,*
Bogdan Rajewski
Korekta *Barbara Piechowska-Szczebiot*

© Copyright by text Jan Leończuk, Białystok 1987

Tomik dotowany przez Wydział Kultury
Urzędu Wojewódzkiego w Białymstoku

ISBN 83-03-02144-3

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA
BIAŁYSTOK 1987
Wydanie I. Nakład: 1000+250 egz.
Objętość: ark. wyd. 1,4; ark. druk. 3,5.
Druk i oprawa: S.S.P. „Podlaska” Białystok
Zam. 251/87, R-1